

**prof. dr hab. LUCJAN SUCHANEK**

Członek PAU

## **MNIEJ TO LEPIEJ NIŻ WIĘCEJ. O POLSKIEJ POLITYCE EDUKACYJNEJ NA POZIOMIE WYŻSZYM KSZTAŁCENIA**

OECD – Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju co jakiś czas przygotowuje raport, dotyczący wykształcenia na poziomie wyższym, uwzględniając w badaniach kilkadziesiąt krajów. Brane są pod uwagę różne czynniki, w tym poziom wydatków na edukację, bo z nim przede wszystkim związany jest wzrost liczby obywateli z wyższym wykształceniem. Uwzględnia się także takie dane, jak przyrost naturalny i PKB *per capita*. Za najlepiej wykształcony kraj uznano Kanadę, gdzie połowa obywateli ma wyższe wykształcenie, dokładnie jest to 51%. Na następnych miejscach znalazły się: Izrael (46% obywateli), Japonia (45%) i Stany Zjednoczone z 42 procentami. Wszystkie te państwa mają wysokie PKB i PKB *per capita* oraz dużo inwestują w edukację. Według przytaczanego rankingu odsetek wykształconych Polaków wynosi 23% (w roku 1997 było to zaledwie 10%). Warto zauważyć, że Polska wyprzedza Włochy, Portugalie, Czechy, czy Austrię.

Dlaczego w porównaniu z rokiem 1997 tak wysoki wzrost stał się w Polsce możliwy? Odpowiedź jest oczywista. W latach 80. i 90. ubiegłego wieku liczba uczelni wyższych w Polsce niepomniernie wzrosła. Duży wpływ na ten proces miał system boloński, który wprowadzał podział na trzy poziomy kształcenia, w tym trzyletni, zwany studiami licencjackimi. Powstawały wówczas dwa nowe rodzaje uczelni wyższych – szkoły prywatne oraz Państwowe

Wyższe Szkoły Zawodowe. Te ostatnie pierwotnie nazywano państwowymi, później zmieniono ich nazwę na publiczne.

Przytoczmy jeszcze jeden wskaźnik z omawianego raportu. Według prognoz do 2020 roku co najmniej 40% obywateli krajów członkowskich OECD i Unii Europejskiej powinno mieć ukończone studia wyższe. A Polska może znaleźć się w czołówce krajów najlepiej wykształconych, ze względu na bardzo wysoki stopień wzrostu liczby osób kończących uczelnie wyższe. Wszystko wskazuje na to, że przewidywania te się nie sprawdzają. Nie znaczy to wszakże, że prognozy, o których mowa, potrzebne są wyłącznie dla celów sondażowo-reklamowych. Liczba osób z wykształceniem wyższym to problem fundamentalny, dotyczący poziomu życia w Polsce teraz i w przyszłości. Uczelnie to nie są szklane pałace, nie stanowią one jakiejś specyficznej, zamkniętej enklawy w organizmie państwowym. Ich podstawowe zadanie to służba społeczeństwu i państwu. To zadanie nie tylko uczelni, ale także resortu odpowiedzialnego za edukację.

Fundament ideowy Ustawy o szkolnictwie wyższym, nazywanej powszechnie konstytucją dla nauki, a także związanych z nią aktów prawnych, stanowi teza: mniej to lepiej niż więcej. Lepiej więc będzie, gdy liczba uczelni zostanie wyraźnie ograniczona (likwidacja uczelni, łączenie ich w większe struktury), gdy znacząco spadnie liczba studentów i kiedy ograniczymy liczbę dziedzin nauki. Wiąże się to bezpośrednio z problemem podziału funduszy przeznaczonych na naukę na poszczególne uczelnie, bowiem ma ułatwić ich dystrybucję. To jest główny wektor działań władz resortu. Czy od nich ma zależeć poziom kształcenia?

Uczelnie wyższe zawsze różniły się między sobą i prezentowały różne poziomy. Czy dziś wszystkie uczelnie polskie spełniają warunki dobrego i pożytecznego kształcenia? Obowiązkiem władzy jest kontrola tego właśnie wymogu. Powinien to być warunek *sine qua non* istnienia uczelni. Nastawienie na lansowanie kilku najlepszych uczelni jest rozwiązaniem błędnym. To próba doprowadzenia do tego, by w efekcie któraś z polskich uczelni znalazła się w miarę wysoko w rankingu szanghajskim. Można wątpić, czy przy takim doborze kryteriów oceny, jakie stosowane są w rankingu szanghajskim, polskie uczelnie mają szanse przesunąć się znacząco wyżej w klasyfikacji uczelni. Czy warto więc takie ambicje podsycać? Niektóre z przyjętych w rankingu wyróżników nie wynikają bezpośrednio z poziomu kształcenia. Tak jest chociażby z Nagrodą Nobla, czy z wysoką pozycją w życiu politycznym absolwentów danej uczelni. To są osiągnięcia indywidualne, uzależnione od wielu czynników. Nie można ich w sposób bezpośredni łączyć z uczelnią, na której się studiowało.

Zadaniem władz państwowych jest dbanie o wysoki poziom kształcenia we wszystkich uczelniach, bo on decyduje o kulturze społeczeństwa. Celem władz powinno być także to, by ludzi wykształconych było jak najwięcej. Tym samym liczba uczelni nie jest bez znaczenia. Bez wątplenia pewna część tworzonych w ostatnich latach uczelni powinna zniknąć.

Powstaje pytanie, czy resort potrafi zadbać sprawiedliwie o wszystkie uczelnie i zapewnić im warunki rozwoju. Czy potrafi odpowiednio ocenić rolę różnych uczelni i czy powinien tu odgrywać rolę czynnik przestrzenny? W „PAUzie” zamieściłem kiedyś tekst, zatytułowany *Pożytki z „uczelni prowincjonalnych”*. Na przykładzie PWSZ. Nazwy „uczelnie prowincjonalne” użyłem w cudzysłowie, bowiem słowo prowincjonalny nie tylko dotyczy przestrzeni i wtedy jest z reguły semantycznie nienacechowane, lecz ma także wymiar ocenny i wtedy oznacza zaściankowy, małomiasteczkowy. A więc gorszy. Czy tak rzeczywiście jest? „Uczelnie prowincjonalne” istnieją w kontekście uczelni akademickich, z reguły działających w dużych miastach (choć nie zawsze). PWSZ-y były z reguły powoływane w małych ośrodkach, często stanowiących pustynię edukacyjną.

Zostały one powołane do życia w roku 1998, by przeciwdziałać wykluczeniu społecznemu młodzieży pochodzącej z uboższych warstw społecznych, głównie z małych miast i obszarów wiejskich. Stały się nową kategorią wyższych uczelni, stanowiącą ważny element w polskim systemie edukacyjnym. Są to uczelnie, które według systemu bolońskiego stanowią pierwszy stopień kształcenia na poziomie wyższym i obejmują różne kierunki: inżynierskie, pielęgniarskie, ale także humanistyczne i społeczne.

W moim przekonaniu ich nazwa jest nieprecyzyjna, a nawet myląca – tylko część z nich przygotowuje do konkretnego zawodu. Proponowałbym, by nazywać je kolegiami licencjackimi, nazwa ta określałaby poziom wykształcenia. Powinno stać się zasadą, że uczelnie te pozostają przy kształceniu na poziomie licencjackim. Tymczasem wiele z nich, w wyniku ambicjonalnych postaw samorządów i pracowników akademickich, dąży do przekształcaniu ich w studia magisterskie. To według mnie zły kierunek.

Absurdalny i przerażający zarazem jest argument, że w Polsce mamy wyścigającą liczbę osób z wyższym wykształceniem! Według Spisu powszechnego w 2011 roku dyplom uczelni wyższej posiadało 14,6% mężczyzn i 18,8% kobiet, 21,4% ludności miejskiej i 9,8% mieszkańców wsi. To pozytywne zjawisko, ale poziom wykształcenia akademickiego nie jest jednak zbyt wysoki. Być może, nadejdzie kiedyś taki czas, że wykształcenie wyższe, przynajmniej na poziomie licencjackim, będzie obowiązywać wszystkich. Człowiek pozba-

wiony wiedzy, niewykształcony, nie będzie pełnowartościowym obywatelem. Człowiek wykształcony, choć niekiedy może mieć trudności ze znalezieniem pracy zgodnie z ukończonym kierunkiem studiów, jest w stanie lepiej rozumieć współczesny świat i jego mechanizmy, nie popadnie on w niewolę degradującej kultury masowej. To on staje się strażnikiem kultury narodowej, bez której naród traci swą tożsamość. Wykształcenie jest wartością samą w sobie, ono człowieka ubogaca i uszlachetnia.

W dotychczasowym dyskursie o uniwersytetach, o szkołach wyższych na dwu przeciwległych pozycjach stawia się liczbę studiujących i poziom kształcenia. Jest to założenie z gruntu fałszywe, gdyż zakłada ono, iż są to wartości antyetyczne. Równie popularna, aczkolwiek niebezpieczna, jest teza o elitarności kształcenia. Wiąże się to z zagadnieniem elity, jako kategorii społecznej, jednak samo to pojęcie jest niejednoznacznie i elita rozmaicie bywa rozumiana, a nierzadko postrzegana koniunkturalnie. Głoszą ją ci, którzy traktują elitarność, a więc wyraźne zmniejszenie liczby studiujących, jako drogę do poprawy pozycji uniwersytetów polskich. Takie hołdowanie niebezpiecznej ideologii elitarności wykształcenia świadczy o niezrozumieniu współczesnego świata, któremu zagraża degradująca kultura masowa. Kultura wysoka nie jest i nigdy nie była dostępna każdemu, lecz dziś niebezpiecznie zagraża jej kultura niska. O tym wiadomo już od dziesięcioleci, od chwili, gdy pojawiło się społeczeństwo masowe i kultura masowa. Wielu myślicieli, by wspomnieć chociażby Eliota czy Ortegę y Gassetę, uprzedzało przed niebezpieczeństwem i wskazywało drogi ratunku. Ochrona kultury wysokiej, będącej podstawą kultury narodowej, jest obowiązkiem ludzi wykształconych. A ci pojawiają się dzięki uczelniom – jest to więc misja uczelni wyższych, to ich obowiązek wobec wspólnoty narodowej.

Tezę o elitarności kształcenia głoszą, choć niewyłącznie tylko oni, przedstawiciele nauk ścisłych. Jak sądzę błędnie rozumiana jest ich intencja: pragną oni bowiem, by formę kształcenia elitarnego zapewnić tym studentom, którzy wyrastają ponad przeciętny poziom. Włączeni do przyjętego systemu kształcenia, nie są oni w stanie rozwijać swych talentów. Elitarność więc oznacza tu, i jest to w pełni akceptowalne, stworzenie optymalnych warunków studiowania, z reguły bardzo zindywidualizowanych. Nie jest to równoznaczne ze zmniejszeniem liczby studentów.

Demagogiczny jest argument, że duża liczba studiujących to automatyczne obniżenie poziomu nauczania, czas więc powrócić do systemu, gdy studiowanie było elitarne (dla ograniczonej liczby osób) i – tym samym – automatycznie prezentowało wyższy poziom. Jest to rozumowanie fałszywe, liczba studiujących

nie może stanowić przeszkody w prowadzeniu wysokiego poziomu nauczania. Hasło: przechodzimy od ilości do jakości jest nielogiczne i zwodnicze. Za słaby poziom nauczania oskarża się niski poziom kandydatów na studia. To jednak tylko część prawdy, nie zwalnia to uczelni z obowiązku starania się o to, by w procesie kształcenia poziom studiujących poprawić. Zasada taka jest zgodna z misją uczelni wyższych, kształcących osoby, które społeczeństwo budują i zapewniają jego wysoki poziom.

Od czasu do czasu pojawia się w prasie stwierdzenie, że uczelnie produkują (w bardziej miękkiej wersji kształcą) bezrobotnych. Ci, którzy je głoszą, z pewnością nie zdają sobie sprawy z jego absurdalności i nielogiczności, bądź, co bardziej prawdopodobne, w sposób świadomy stosują chwyt manipulacyjny, perswazyjne. Połączono w tym stwierdzeniu sztucznie i w sposób nieuprawniony, demagogiczny wręcz, dwa odmienne porządki: edukację i bezrobocie: za bezrobocie odpowiedzialności nie ponoszą uczelnie, lecz państwo. Celem uczelni jest kształcenie, a ono związane jest także z liczbą uczelni wyższych.

W 2014 roku zamieściłem w „PAUzie” (nr 277-278, ss. 4-5) artykuł *Edukacja czy przemysł edukacyjny. Studia i studiowanie w czasach kultury masowej*. Gwałtowny i niekontrolowany, a jednocześnie jak się wydaje w jakiś sposób stymulowany, rozwój kultury masowej wpłynął znacząco na poziom kultury: dawna kultura elitarna, wysoka, została zastąpiona przez kulturę popularną, niską, nie wymagającą specjalnego przygotowania do jej odbioru. Prymitywizacja kultury wyższej oraz manipulowanie świadomością społeczną spowodowały, że miejsce kultury zajął przemysł kulturalny, którego celem jest produkowanie dla zysku. Wszystkie wartości wyższe – prawda, dobro, piękno – stają się wówczas drugorzędne bądź wręcz zanikają.

Podobny mechanizm widoczny jest dziś w sferze edukacji, którą zastąpił przemysł edukacyjny. Tradycyjne wartości kształcenia, cele oraz zasady funkcjonowania uniwersytetów uległy istotnemu przewartościowaniu. Stało się tak w wyniku wysunięcia na plan pierwszy nie celów edukacyjnych, jakie stanowią istotę misji uniwersytetów, lecz wymogów, wynikających z praw ekonomii i wskazań nauki o zarządzaniu. Zarówno ekonomia jak i zarządzanie, zawsze w życiu uniwersytetów obecne, lecz zawsze podporządkowane ich celowi zasadniczemu – kształceniu i formowaniu osobowości studenta – stały się dominujące i to właśnie one decydują o istnieniu uczelni. Istotną wadą nowej ustawy jest tendencja do schematyzowania, a więc, upraszczania, które jest przydatne tylko ze względów organizacyjnych i opisowych. Ułatwia zarządzanie, w szczególności ewaluację, lecz pozbawia niezwykle istotnego czynnika

różnicującego, pozwalającego precyzyjniej opisywać stan nauki i kształcenia. W dyskusjach wielokrotnie podkreślano, że humanistyka jako nauka przestaje być równoważna w stosunku do *science*. Przydatność praktyczna nauki zdominowała jej walory czysto poznawcze.

W Ustawie i związanych z nią aktach prawnych niższego rzędu dostrzec można jeszcze jedno, lecz mające fundamentalne znaczenie, zagrożenie, dotyczące przede wszystkim, acz nie wyłącznie, humanistyki. To decyzja radykalnego zmniejszenia liczby dziedzin nauki. Głosi się mianowicie tezę, że im mniej ich będzie, tym lepiej. Jest ich przecież mniej w innych krajach, a więc i u nas musi być podobnie.

Z wykazu dziedzin naukowych i dyscyplin zniknęła filologia. Niezwykle znamienna była dyskusja o kulturoznawstwie, należącym do nauk humanistycznych. Spory wokół kulturoznawstwa wynikają ze złego rozumienia (świadomego bądź nieświadomego) słowa kultura, będącego w zasadzie homonimem – terminu mającego znaczenie wąskie i szerokie. W Polsce, w aspekcie semantycznym, odnośnie do kulturoznawstwa jako nauki, widoczna jest tendencja do jego wyraźnego zawężania, rozumie się ten termin wąsko, jako różne rodzaje sztuk (plastyczne, muzyczne itp.). Tymczasem musi być ono traktowane szeroko – jako nauka o kulturze, cywilizacji.

Wiąże się to bezpośrednio z modelem studenta. W jego kształtowaniu dominuje podejście socjologiczne, które praktycznie odrzuca (bądź znacznie ogranicza) podejście antropologiczne. Ginie wówczas, bądź przechodzi na dalszy plan, jednostka, która jest upodrzedniona wobec masy. Ortega-y-Gasset był zdania, że masę stanowi „średni człowiek” (uśredniony). G. Marcuse mówił o człowieku jednowymiarowym, jego zdaniem masa to ludzie, którzy nie są w stanie uwolnić się od nacisku propagandy i manipulacji oraz niezdolni są do rozumienia faktów, ocen, alternatyw. Ma wówczas miejsce „obróbka człowieka przez człowieka”, której narzędziami są przemysł propagandy, reklamy i masowa kultura. Ogromną rolę w tym procesie odgrywają formy komunikacji społecznej (przemysł informacyjny) i jej technologie: środki masowej informacji, sieci komputerowe i internetowe, globalne środki łączności. Wraz z burzliwym rozwojem technologii – środków przekazu i reprodukcji form dystrybucji – kultura, z reguły, przyjmowana jest bezrefleksyjnie. Obowiązkiem uczelni wyższych wobec społeczeństwa jest obrona studenta przed tego typu oddziaływaniami, wyrobienie w nim odporności na ten wpływ. Dlatego szczególną rolę odgrywać muszą nauki humanistyczne, w tym zaś dyskryminowane obecnie kulturoznawstwo.

Idea mniej to lepiej niż więcej przejawia się w jeszcze jednej sferze – w twórczości naukowej pracowników uczelni. Od pewnego czasu głoszony jest pogląd, że humaniści piszą za dużo. A jeśli za dużo – to źle. Stąd hasło czy wymóg wręcz ograniczenia twórczości naukowej. A najlepiej osiągnąć można to przez liczby. Jako magiczną liczbę podaje się 4. I nikt nie wie, dlaczego liczba cztery ma taką magiczną moc. Może cztery teksty w ciągu czterech lat, czyli jeden tekst na rok, dla przedstawiciela nauk ścisłych to wystarczająco, w humanistyce tak jednak nie jest. Chyba, że ktoś nie jest w stanie tej granicy przekroczyć, ale wtedy nie ma dla niego miejsca na uczelni.

Idea mniej to lepiej niż więcej i jakaś magiczna liczba ma miejsce także w odniesieniu do czasopism. Ich też nie może być za dużo i dlatego od lat tworzona jest lista polskich czasopism, które będą punktowane. Słyszałem o liczbie sześciuset. I tylko w nich należałoby drukować, tylko one bowiem dadzą punkty, a dzięki nim można utrzymać się na uczelni. Magia punktów zniewala i uczeni, zwłaszcza młodzi, myślą o swoich tekstach tylko pod kątem tego, żeby je opublikować w pismach punktowanych. O popularyzacji nauki i wiedzy nikt nie myśli, a w każdym bądź razie nie jest ona wyceniana.

Nie sposób zwrócić uwagi na zjawisko konferencji naukowych. Tu też obowiązuje zasada mniej to lepiej niż więcej. Najlepiej zaś, żeby ich w ogóle nie było. A wszyscy wiemy, zwłaszcza przedstawiciele nauk humanistycznych i społecznych, że bez konferencji nie ma życia naukowego. To one przecież umożliwiają bezpośredni kontakt uczonych i wymianę myśli, której nie zastąpi lektura tekstów. Tymczasem za organizowanie konferencji nie uzyskuje się żadnych magicznych punktów. Kto więc będzie je organizować?

Słowo punkty, obok założenia mniej to lepiej niż więcej, stanowi drugi fundament dzisiejszego myślenia o szkolnictwie wyższym. Jak mawiał znany slawista, profesor Andrzej Urbańczyk, za każdym nowym pomysłem, jaki pojawia się w ministerstwie, stoi jakiś profesor. Można by tę myśl w odniesieniu do dnia dzisiejszego nieco zmodyfikować. Za pomysłami, jakie dziś kształtują system edukacyjny na poziomie wyższym, stoi grupa profesorów. Ona strzeże konceptu mniej to lepiej niż więcej. W wyniku dyskusji do niektórych propozycji zmian zespół opracowujący model szkolnictwa wyższego dał się przekonać, w nikłym jednak stopniu, przy innych, jak w wypadku kulturoznawstwa – ale także wielu innych – pozostał niewzruszony. I nie można zrozumieć, dlaczego.